Źródło, które pamięta

Michalina Rydzewska

Nie zamierzałam zbaczać z utartej ścieżki. Lubię znać cel podróży, a lasy między Racławicami a Nowosielcem mogą zaskoczyć nawet miejscowych. Coś mnie jednak przyciągało – może ten cichy ptasi śpiew, zapach ziemi po deszczu? A może po prostu zbyt wiele myśli o niczym?

Zostawiłam rower przy rozwidleniu i ruszyłam pieszo, zwabiona cieniem starych dębów. Po paru krokach usłyszałam coś niezwykłego – szmer wody. Nie był to strumień ani deszcz, raczej dźwięk, jakby ktoś zanurzał dłonie w misie z wodą, wolno i rytmicznie. Zaciekawiona, ruszyłam w jego stronę.

I wtedy zobaczyłam mężczyznę. Stał nad maleńkim źródełkiem, otoczonym omszałymi kamieniami. Miał długi, ciemnoczerwony płaszcz, jak z baśni, i laskę opartą o ziemię. Jego twarz była poorana zmarszczkami i pełna spokoju, niczym rzeźba wyciągnięta z niżańskiego sanktuarium. Starzec uśmiechnął się do mnie delikatnie.

– Nie lękaj się – powiedział. – To miejsce nie jest dla tych, którzy szukają, ale dla tych, których znaleziono.

Zamarłam. Te dziwne słowa brzmiały jak zagadka lub tajemne zaklęcie. Dotknęłam złotego krzyżyka, który od śmierci dziadka nosiłam na szyi. Chciałam uciekać, ale nie mogłam.

– Kim jesteś? – wyszeptałam, czując ciarki wędrujące po moim karku.

– Nazywają mnie Wojciech. Czasem Adalbert. Wędrowiec. Dziś mów do mnie – Przewodnik.

Starzec rozłożył ręce, a źródełko niespokojnie zafalowało i rozbłysło niebiańskim światłem. Las wokół mnie ożył. Stare drzewa cofnęły się w czasie. W miejscu gęstwiny, zarysowały się budowle.

– To zamek w Nisku! – krzyknęłam, podchodząc bliżej. Na dziedzińcu stała dostojna kobieta w ciemnej sukni. Spojrzała w moje oczy, jakby znała mnie od zawsze.

– A więc to ty... Dziewczyna ze złotym krzyżykiem. Szukałam cię od dawna.

– Kim jesteś? – zapytałam, choć odpowiedź już krążyła w mojej głowie.

– Hrabina Maria Resseguier. Ufundowałam ten szpital – wskazała ręką dookoła – ale to tylko fasada skrywanej tajemnicy. Pod tym miejscem kryje się coś więcej. Coś, co Niemcy schowali pod koniec wojny. Pociąg. Złoto. Tajemnice.

Skinęła głową do Wojciecha. Oni dobrze się znali – duch świętego i arystokratki, związani legendą.

– Ale to nie złoto jest celem – dodała. – Tylko prawda. Prawda o tym miejscu, ale również o ludzkim życiu. Odkryjesz ją, jeśli nie zboczysz ze ścieżki.

I nagle wszystko zniknęło. Las wrócił, a ja stałam sama, z bijącym sercem, pewna, że nic już nie będzie takie samo.

Minęły dni, a ja nie mogłam spać. Każdy sen kończył się powtarzającym obrazem – laską świętego Wojciecha zatopioną w źródle i oczami hrabiny wpatrzonymi we mnie, jakby mnie wybrała.

Nie powiedziałam nikomu, bo kto by mi uwierzył? Codziennie długo spacerowałam. Potrzebowałam powietrza, ciszy, miejsca, gdzie duchy przeszłości nie były tak odległe. Niżańskie planty okazały się do tego idealne. Szept kasztanowców przyzywał mnie, ich szum układał się w nieznane słowa.

Tam spotkałam świadka.

Siedział na ławce, może dziewięćdziesięcioletni. Twarz miał poznaczoną zmarszczkami jak mapa. Obok niego leżała stara, wojskowa laska.

– Ty jesteś tą dziewczyną od skarbu – powiedział bez wprowadzenia. – Szukałem cię.

Zamarłam.

– Dlaczego?

– Bo masz coś, czego nie powinnaś mieć – wskazał na krzyżyk na mojej szyi.

– Mam go od dziadka – wyszeptałam, bo pamięć o jego śmierci wciąż bolała.

– Wiem. Byłem tam tej nocy – uśmiechnął się. Oczy miał szkliste, ale mądre. – W 1945, kiedy Niemcy ciągnęli coś przez las. Ciężki skład, osiem wagonów. Pilnowali go jak oka w głowie. Widziałem, jak wyciągnęli krzyżyk i cisnęli w krzaki. Śmiali się z mężczyzny, który zapłacił za grzechy innych. Zobaczyłem błysk złota… Z ciekawości podszedłem bliżej. Cięli mnie bagnetem i zostawili na pewną śmierć. Kiedy się ocknąłem, krwawiące miejsce była obwiązane brudną szmatą, ale nikogo nie było. Dowlokłem się do wioski, gdzie pomogli mi chłopi. Jednak rana nigdy się nie goiła. Jątrzyła się i ropiała, przypominając o zgubnych konsekwencjach chciwości. A teraz, po latach, wróciłem. Dwa dni temu poszedłem do źródła. I patrz.

Rozchylił koszulę, pokazał mi delikatną bliznę. Skóra była prawie gładka. Płakał, a ja razem z nim.

– Rana przestała krwawić, w końcu nic mnie nie boli. Woda świętego żyje – szepnął. – I chroni. I ostrzega. To Wojciech kazał mi spotkać się z tobą i opowiedzieć tę historię. Myślę, że twój dziadek też był w lesie. Znalazł krzyżyk. Zabrał. Gdy założyłaś łańcuszek, obudziłaś magię skarbu. Teraz chce odnaleźć brakujący element. Nie możesz pozwolić mu wyjść z podziemi.

Starzec wstał i odszedł w stronę zamku, a ja nie miałam siły za nim podążyć. Przypominałam sobie mgliście dziwne historie dziadka. Skarb? Noc? Ranny? Czy mój dziadek był winny? Czy naprawdę, zaślepiony żądzą bogactwa, zostawił umierającego człowieka?

Wieczorem wróciłam na planty. W spoconej dłoni kurczowo ściskałam latarkę. Czułam, że muszę odwiedzić szpital – dawny pałac Resseguierów. Przechodząc przez skwer, dostrzegłam kobietę w staromodnym stroju, jednak kiedy przetarłam oczy, zniknęła.

Za szpitalem zobaczyłam coś niepokojącego – zarys bramy w murze, nie pasujący do reszty cegieł. Dotknęłam kamienia. Był zimny, ale drgał, jakby coś pod nim oddychało. Wtedy usłyszałam rozmowę.

– Korytarz biegnie aż pod las – powiedział mężczyzna z niemieckim akcentem. Jego głos brzmiał jak szmer zza cienkiej ściany. – Ukryjemy wszystko. Nikt nie znajdzie.

– A jeśli wrócą? – odpowiedziała kobieta z francuskim zaśpiewem. – Te rzeczy nie powinny trafić w ich ręce.

– Dlatego zamurowaliśmy wejście i wypowiedzieliśmy klątwę. Tylko my będziemy mogli zabrać stąd złoto.

Usłyszałam trzask, a następnie głuchą ciszę, w którą zaczęło się wkradać rżenie konia. Odwróciłam się, ale nikogo nie było. Tylko szpital, który zamarł, i szelest liści, szepczących tajemnice.

Nie wiem, jak znalazłam przejście. Może to przypadkowe pęknięcie w murze, a może przeznaczenie. Przesunęłam kamień, który był dziwnie lekki, a ściana, jęcząc, odchyliła się. Za nią czekała ciemność, tak gęsta, że prawie ją poczułam.

Pchnęłam mur mocniej, włączyłam latarkę i weszłam. Ogromne podziemia pałacu Resseguierów składały się z wąskich ceglanych korytarzy. Schody były nierówne, wilgotne. Pachniało starym kurzem i czymś dziwnym, może czekoladą? A może kawą z pobliskiej kawiarni? Głośno przełknęłam ślinę.

W oddali rozległ się stukot. Rytmiczne kroki – jeden ciężki, drugi pusty, jakby metalowy. Echo potęgowało niepokojące dźwięki. Zamarłam. Serce biło mi jak szalone.

Nagle zjawił się on. Wysoki, szczupły mężczyzna, w poplamionym fraku, z bladą twarzą i wyraźną blizną. Lewa noga kończyła się na kolanie – reszta była prostym stelażem. W ręku trzymał laskę z herbem.

Spojrzał na mnie z ukłonem.

– Nie jesteś jedną z nich – powiedział głębokim głosem. – Żaden Resseguier nie zapuściłby się tutaj sam. Zaciekawiasz mnie.

– Kim jesteś?

– Hrabia Rudolf Resseguier. Witaj w moim więzieniu – wykonał dłonią zapraszający gest, więc poszłam za nim.

Kroczyliśmy razem – ja ostrożnie, on miarowo i elegancko. Pokazywał mi stare komory:

winiarnię, zamurowany korytarz z niemiecką inskrypcją, pomieszczenie z węglem i torami prowadzącymi donikąd.

– Pociąg tędy nie przejechał – stwierdził. – Widziałem, jak wnosili skrzynie. Złoto? Dokumenty? Nie wiem. Wiem jednak, że w ciekawości i chciwości kryje się przekleństwo.

– Przekleństwo?

– Instynkty, którym nie można ulegać. Zaślepienie chęcią posiadania! Bogactwo! Władza! Dla mnie! Dla mnie! – Rudolf zaczął wpadać w szał, ale nagle uspokoił się i dokończył głosem człowieka przegranego. – Ja byłem słaby, uległem im, upadłem… Dlatego zostałem tutaj. Ty będziesz silna, wierzę w to.

Zatrzymaliśmy się przy zamurowanym przejściu. Woda sączyła się z cegieł. Wtedy usłyszeliśmy krzyk. Chwyciłam latarkę i pobiegłam w stronę dźwięku. Rudolf nie próbował mnie zatrzymać.

Za rogiem ujrzałam coś, co zapamiętam na zawsze – małą dziewczynkę z jasnymi lokami, w białej sukience z koronką. Miała posiniaczoną twarz i ręce, a w tle za nią majaczyły strome schody. Klęczała przy gruzowisku, próbując coś wyciągnąć. Jej twarz była skupiona, smutna, niewinnie dziecięca i tragiczna zarazem.

W dłoni ściskała złoty naszyjnik. Gdy spojrzała na mnie, jej usta poruszyły się bezgłośnie.

Może chciała coś powiedzieć… może tylko poprosić o pomoc.

Za mną rozległ się szept.

– Cecylia – powiedział Rudolf. – Moja córeczka.

Zadrżał. Jego głos pęczniał od rozpaczy.

– Nie zdążyłem… przeprosić.

Dziewczynka spojrzała na niego, a w jej oczach pojawiło się coś więcej niż smutek. A potem zniknęła nagle jak błyskawica.

Podbiegłam do gruzu. Nie było tam nic poza otwartą szkatułką z kosztownościami i śladem dłoni w kurzu, jakby ktoś przed chwilą tam był. Wydawało mi się, że skarby, na które patrzyłam – oddychały. Przyzywały mnie i chciały wejść do moich rąk. Błyszczały i mamiły obietnicą ogromnego bogactwa. Nie wiem skąd czerpałam siłę, ale nie poddałam się żądzom. Ze spokojem sięgnęłam do łańcuszka na szyi. Zdjęłam krzyżyk, włożyłam do skrzyneczki i zamknęłam ją.

A potem wszystko zaczęło się walić. Kawałek stropu spadł, uderzając mnie w czoło. Krzyknęłam, gdy kamień rozciął skórę, ja poczułam strumień ciepłej krwi.

Rudolf podbiegł do mnie, ale jego duchowe ciało zaczęło… gasnąć.

– Musisz wrócić do źródła. Tylko ono może cię uratować.

– A ty?

– Ja? Ja właśnie zostałem ocalony. Pokazałaś mi ogromną siłę, uwolniłaś od zgubnego wpływuzłota i odnalazłaś prawdę, której ja nie zdążyłem zrozumieć.

Nie wiem, jak wydostałam się z mrocznych czeluści. Może ktoś mnie prowadził, a może źródło samo mnie przyciągnęło? Do świętego miejsca dotarłam o świcie. Woda lśniła jak złoto, a nad nią schylały się dwie postacie: Wojciech i mój dziadek. Przewodnik spojrzał na mnie, pochylił się i dotknął mojego czoła.

Piekło tylko przez chwilę. Potem ból i krew zniknęły. Została tylko blizna w kształcie niewielkiego, wyblakłego krzyżyka. W mojej głowie rozbrzmiał głos dziadka:

– Przepraszam… i dziękuję. Zapamiętaj – nie szukaj skarbu. Szukaj pamięci. To ona jest prawdziwym złotem, które nigdy nie rdzewieje.

Kilka dni później wróciłam na planty. Już nie po odpowiedzi, bo przecież je znalazłam. Chciałam tylko posłuchać drzew szepczących rzeczy zrozumiałe dla tych, którzy naprawdę się wsłuchują.

Na zacienionej ławce przy fontannie dostrzegłam kobietę w długiej sukni. Z daleka wyglądała jak zwykła spacerowiczka, elegancka, lecz zamyślona. Na głowie miała kapelusz, a w dłoni długą szarfę. Czułam, że czeka na mnie, więc podeszłam i usiadłam obok.

– Udało ci się – bardziej stwierdziła niż spytała.

Kiwnęłam głową.

– I dobrze – powiedziała, unosząc wzrok. – Bo tam, gdzie historia chowa się nisko, trzeba szukać głęboko. Nie po to, by wykopać złoto, tylko po to, by nie zapomnieć.

Uśmiechnęła się łagodnie, jej rysy zaczęły twardnieć i zastygła, niczym odlana z brązu.

Zostałam sama – z twarzą zwróconą ku słońcu, dłońmi złożonymi na kolanach i sercem pełnym spokoju. Wiedziałam, że historia nie musi krzyczeć. Czasem wystarczy, że trwa. Nisko. Cicho. Głęboko.